NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG

ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY



REDAKCJA i ADMINISTRACJA WARSZAWA UL. MAZOWIECKA № 5 TEL. № 226-83.

№ 26

WARSZAWA DNIA 16 CZERWCA 1912 R.



Czerwcowy poranek. Kwiaciarka.

WALENTY ZIELIŃSKI.

2)

SŁOWIK.

NOWELA.



racowała Jóźka w polu a była w robocie Jaśkowi pomocną, — pracowała rzetelnie — radując się pracy, radując życiu i jego mocy przez słonko w ziemi-matce utajonej... I dobrze jej było w polu, i dobrze w obejściu przy chacie, i tak dobrze wszędy, że serce jeno rwało się z piersi i radeby wszystko, ciepłem szczęścia po świecie oblecić.

Było już na pół maja.

O, świecie, jakżeś ty się ustroił, jakie szatki przyoblókłeś na ten miesiąc Przenajświętszej Panienki! Boć jakże Jej chodzić bieluchną stopką, po zimnej szarej ziemi, jakże to Jej oczkom opercia nijakiego, nie naleźć?.. Pan Jezusek Mateczce swej rozściela — precz — takie zielone kobierce po świecie i drzewa w liście przyodziewa, a co które mu kochańsze—to i kwiatkami upiękni!

Wesoło było Jóźce, oj wesolo, tak letko na sercu, na to wszystko patrzący.

I lubiała, po dniu pracy, z wieczora przysiąść u proga chałupiny i spoglądać na niebo kraśne jeszcze po słoneczku a złocące się od kraju do kraju, że i dziwno patrzeć na takie piękności i mądre Boskie urządzenia, których człek tknąć nie może, ni pokalać swojemi ręcami.

Po kolacji i oprzęcie, rwała się—jeszcze choć trochę na niebo popatrzeć.

Gwiazdki!.. wy gwiazdki, okieneczka krąglutkie do nieba, — duszą by człekowi chciało się przez was przejrzeć, gdy oczy do tego nie sposobne. A świeci się tam... a miga... a jasność taka i dzień wiekuisty za wami — — —

Siedzi sobie tak na przyzbie i pomyśluje... Na chwilkę jeno odleciała rozumem do chaty:

— Zaczkam na Jaśka — powieda — tylko patrzeć jak z boru z jenszemi powróci; dużo chojaków pono mieli dziś do kładzenia... naporozrywa się bideczysko, naporozrywa...

I znów zaczena, przez daleką noc, na gwiazdy a niebo spoglądać — — i znów zaczena — — aże sama się nie spoździała jak ręce jej się na modlitwę zawerły, jak klękła wpodle chaty, jak miłowanie tych piekności—łzy z oczu ciurkiem jej odpuściło.

I modliła się najpierw do Pana — potem do Przenajświętszej — a potem i za ludzi, co żyjące i tech co pomerli. Wspomniała i Wawrzona, że to już miała tak we zwyczaju.

Aż tu od gaju, o staj parę, czarowna pieśń się ozwie... jakby wśród drzew na fletni czarodziejskiej grało — — to znów jakby dzwoniło po kniei — — —

Chyci się Jóźka za piersi — bo śpiew dziwno w jej serce przylatuje i struny tajemnej dotyka, dźwięcząc tęsknotą i bólem...

Słowik to był.

A śpiew ptaszyny bożej płynie w jej serce temu ozwarte — i gwiazd promienie ścielą się do duszy — — —

Niby mgiełka z dali — przez ból i tęsknotę — wspomnienie dawne ku niej przychynęło — — miłowanie to wielkie... Wawrzon... śmierć... O Jezus!..

Porwała się i nie baczący na nic, bez pole, lotem biegła przed się do gaju, a pieśń coraz bliższa—uderzała mocniej w jej serce, i odżyło tam — co zdało się być pogrzebionem...

Niosła się pieśń po gaju, niosła po sercu Jóźcynem.

Że też człek tej mądrości nie ma — żeby ptaszka — takiego robaka zrozumieć... a on ci człeka rozumie, bo pieśnią w duszę od jednego razu popadnie — — wie którędy mu trzeba.

Bez nockę całą tłukła się Jóźka po gaju za pieśnią słowika, nie wieda sama co robiący, jeno wsłuchana a tęskna, oj — tęskna taka...

Zbudził się dzień — — rozwidnił pola — gaj—łąki—i dopiero napomnił jej o świecie.

Zapłakała — — —

. . . .

Wolno, przez pole, strącając stopami rośne łzy z zielonej runi, szła do chaty, tając wszystek ból i cierpienie, głęboko, głęboko pod sercem.

Jasiek, kawał czasu już na nią z niespokojnością wyglądał a uźrawszy, rwał naprzeciw — po zielonych zagonach.

Dopadłszy, chycił ramienia:

— Rety, co się z tobą stało? świat czasu, jak wróciłem z boru... o Jezusie.. Jezusie!..

— Jasiek, — odperła — nie gniewaj się Jasiek, Jasiek, ja.. ja jeno... do gaju...

— Gdzie ta ci nocą po gajach latać, — wydziwiał — kobito, pozbyłaś rozumu, czy co takiego?

— Jasiek... — nie mogła już więcej mówić, bo taka żałość chyciła ją za grdykę, że jeno wybuchła płaczem a do ziemi kolanami przypadła.

Zmiarkował, że widać co jenakszego musi być w tem gaju... aleć zara zmógł w sobie złość, żeby to się czasem nie zdredzić ze swoich domyślunków... jeno poprzysiągł w rozumie, kej przyjdzie chwila — z cicha upilnować, a potem — no!

Od tego dnia Józka baczyła — żeby Jasiek nie zeszedł jej czasem na słuchaniu, — aleć — zawsze z wieczora abo i później źdźiebko — upatrzyła sobie przeciech jaką chwilę na posłuchunek onych słowiczych piosenek.

— Będzie się sierdził — powiedała, rozglądając się ostrożnie — nie trza mu być na oczach, bo to i grzych dawać komu kiedy jaką okazję do gniewu.

Ale Jasiek, choć ta i pilnował, nie zeszedł jej przeciech na niczem takiem, a jeno furt widział w niej wielką otmianę, — przybladła jakoś a i w patrzeniu już tej wesołości nie było, a czasem to nawet zdało się człowiekowi, że — jeno, jeno, a ryknie płaczem na całką chałupę, — a najbardziej — to niech tylko słowik zacznie śpiewać w gaju.

Dziwował się Jasiek w swoim rozumie a medytował, boć to i sprzęt wszelaki miała, i iwentarzu co potrza, i kury niesły się okropnie, maciora też odposała się galanto, a zaś — cosik to Józce musiało doskwirać.

A ona, furt, rwała się, a rwała całką duszą w gaj, do tych czarownych ustroni pod drzew szumiących obsłoną, skąd — nocką — płynęły przedziwne pieśni, po srebrnych strunach promieni miesiąca, przelatujących między listowiem — do ziemi, do serca a i porównie do tego robaczka, co w mchu i w trawce, niby w wielgachnym lesie siedzi.

Jednego dnia, że to przyszła kolej na Jaśka do wartowania we wsi, zwyczajnie jak nocą, — pojadłszy sobie a wziąwszy w garść sękacza, poszedł na stójkę, Józkę ostawiwszy jeszcze przy pacierzach. Sam to w chałupie ich dzisia nie zmówił, ażeby mu się nie mierziło — jon klepać po wsi chodzący. Otmówił już prawie wszystkie, gdy znów przyszedł na miejsce przeciwko swojej chałupy.

Miesiąc świecił a cichość była taka, że jeno naszczekiwanie psów dolatywało od czasu do czasu z oddalonych wiosek.

Przystanął Jasiek a spogląda sobie po nocy... Aż tu od gaju zaniesło takiem nazwyczajnem śpiewaniem, że chyba już nie ten ptak to śpiewa — a jakie co jenszego.

Słucha a słucha, tak samokcący, — ale pomiarkował się zara, wspomniawszy na Józkę, jako na śpiewanie te jesta tak mientka, — splunął, ozeźlił się na ptaka i miał znów odejść we wieś. Aż tu — zwolna — ozwierają się drzwi od chałupiny a Józka rozgląda się wkoło. Przywarował za krzem, żeby go nie spostrzegła.

Stała tak chwilę, potem chyłkiem kele chałupy, zaś przy stodole i na tę miedzę między zagonami — a do gaju.

Dech sparło Jaśkowi, aż pięście zacisnął w sobie a kijem szczęknął po kamieniu.



Kamilla Prevost. (Salon paryski 1912 r.) **W zadumie.**

— Ptak, to ptak — szepnął bez zaciśnięte zęby — aleć zawsze może tam być i co jenszego.

Chciał bieżyć za nią, tak — coby go nie widziała, przypilować w gaju a potem... Zaczon się też skradać, jak ten lis, to podeńdzie, to przystanie na chwilę, to znów posunie się ździebko, zaś miarkując, żeby go nie obaczyła.

Idą a postępują — coraz to zbliżając się do gaju.

Była już Józka niedaleko gaju, gdy od razu takiem przedziwnem ćwirkaniem takimi srebrzystymi dzwonkami ozwało się słowicze śpiewanie, aże w samo serce popadło, aż się chyciła za piersi, bo by się chyba całkiem ozwarły a duch by ją z tego ozrzewnienia odleciał.

Przypadła na kolana... rosą jej zaświeciło w oczach — a już łzy, niby perły, płyną po twarzy a co która — to w szarą ziemię jako ten ciepły deszczyk się toczy.

— Wawrzon... — wyrwało jej się z piersi — Wawrzon... — przywtórzyła głośniej — Wawrzon mój, Wawrzon... — płakała.

Doszło to uszu Jaśkowych, nie zdzierżył, zebrał się w sobie i — kej nie spadnie — — od jednego razu wyrwał ją z ziemi, — nie rzekł i słowa, jeno płaczącą wlókł a wlókł do chałupy.

Jęczała bidactwo a prosiła, a te oczyny łzawe błagały jeno zmiłowania, nic to — ciągnął ją kej ten wiechetek, a w chałupie cisnął do stancji, sam zaś poszedł na obórkę, po drabce wdarł się na górę — gdzie siano leżało w zachowaniu, pogmyrał tam w kącie, cosik wyciągnął i zeszedł znowuj do chałupy.

Przy lampie zaświeciła się lufa flinty.

— Józka — powiedział, aż okropnie było słuchać — ostaniesz tu ździebko a ja pójdę upolować twojego ptaszka, coby cię zaś tak zawdy nie osmucał.

Stała, jakby nogi w ziemię wrosły — a wszystko kotłowało się jej dokoła.

— A posłyszysz, jak na gaju huknie — dokończył — to już wtedyk po nim.

Zerwała się znagła, chciała bieżyć, zatrzymać go, ale już był drzwi za sobą zatrzasnął i podparł jeszcze kołkiem, tako uczynił i z okiennicami, że nijakiego już wychodu z chałupy nie było.

Ciskała się biedna po stancji, poraniła palice o szyby, oknem chcący wychlusnąć; gdzie zaś — ani drgły okiennice, — to i po stancji zaczena latać, jak to półtora nieszczęścia abo i szalona, a darła się na całki głos, — ale z zawartej na moc chałupy, jeno jakby miaukanie kota do jenszych chałup dolatywało, to i kto tam co mógł dosłyszeć.

Ptaszka zabiją, ptaszka, co najukochańszy jej na świecie... o ludzie... ludzie!.. Słuchać jeno jak huknie... zara już... Jezusie... Panienko Najświętsza!.. Zabiją!..

A Jasiek z flintą w pazurze biegł bez pole do gaju, za odgłosem piosnki słowika; dopadł pierwszych drzew — przystanął — rozejrzał się — przysłuchał — i już z ukradka a cicho prześlizgiwał się między drzewami, jeno czasem za kierz poniektóry chowając się dla wymiarkowania kędy mu iść wypadnie. A szedł jeno na śpiew, — gdzie zaświergocze — tam on się przekrada; już — już — parę razy składał się do flinty — jeno tylko strzelać, a ptak — tfu — czy złe jakie, w dycht inszem miejscu się odezwie. Zlatał tak szmat gaju za robokiem, i ani go dostać — taki ci cwany a sposobny.

Widział go zaś z blizka, jak przefrugnie, i tylko tyle — i znów przepadł, aż ozwie się o parę staj dalej.

— Doczkasz ty swego, doczkasz — klon i z większą jeszcze zawziętością gnał a przyczajał się za niem.

Prześwitało już między drzewami na drugą stronę gaju, a on furt gonił a tak się zawzion, że i przyodziewek o który kierz trochę naddarł i zaś—oterł się łbem o inszą gałęź że i kudłów na korze ostawało, a złość jeno nosiła go po gaju, a ozzuchwalił się jeszcze bardziej, bo ptak jakby trochę zwątpił na mocy z tego długachnego ganiania, i — choć ta psocił jeszcze — bliżej jednak odzywał się i dłużej przesiadywał na miejscu, aż ostatni już czas do odlecenia nadchodził.

Patrzy Jasiek — usiadł ci on na ostatniem drzewku na skraju, gdzie gaj ocierał się już całkim bokiem o trzęsawiska. Było pod księżyc — to i do strzału, jak nie potrza lepiej.

Zaparł ci dech a przymierzył się do niego, zaś z tej radości aż mu w oczach wszystko skakało, — to i wypolił... Hukło!.. aż po gaju rozniesło się od drzewa do drzewa, jakby ta w jakie sto strzelb wygarnął, a dym chmurą rozesłał się przed ślipiami, że i niewieda gdzie świata bożego szukać.

(Dok. nast.)



A. Augustynowicz. (Sal. Richlinga.) Przed kąpielą.

WACŁAW GĄSIOROWSKI.

18)

WOJNA NARODÓW

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.

Do Orszy szczęśliwie wszyscy troje przybyli. Za Orszą, nie dochodząc Krasnego, z lewej ukazały się nieprzyjacielskie szeregi. Gwardja rzuciła się ku nim. Miłoradowicz cofnął się, lecz nie ustąpił. Kule jego zaczęły sięgać pochodowego szlaku. Luiggi chwycił konia za uzdę, i cudem, cudem prawie dobył miłowany wóz od zagłady, zdołał wyprowadzić go na drogę za Krasnem. Lecz tu wolny przestwór zatarasowały wozy, ambulanse, bryki i pojazdy. Bitwa ze wszech stron objęła uchodzących. Miłoradowiczowi nadchodził z pomocą sam Kutuzow. Davost, Murat, książę Eugienjusz, Ney, cały sztab cesarski stanął do boju.

Bitwa nie ustawała. Kule armatnie prażyły tabor, a tabor szamotał się uwięziony, opętany dziesiątkami potrzaskanych wozów, padłych koni, rozbitych sani. Dopiero hen, pod noc szczerą, gdy działa nieprzyjacielskie umilkły, kilka szwadronów ułanów polskich jęło zatory taboru usuwać.

Tymczasem wózek, strażowany przez Luiggiego, trwał precz pod murami miasta. Ocalał cudem, lecz jeszcze ruszyć nie mógł, dobyć się nie mógł z uwięzi.

Ułani pracowali bez wytchnienia — wyzwolenie atoli żółwim postępowało krokiem. A tu godziny mijały, ranek się zbliżał, z nim wracał niepokój Luiggiego. Wreszcie wytrwać nie mógł w bezczynności. Zwołał gromadę co najbliższych i rzucił się na pomoc ułanom. Robota dwakroć żwawiej szła.

Rozbrzask atoli zdołał zapalić lonty armat, zanim Luiggi do wózka dotarł.

Bitwa rozpoczęła się znów. Krasne stanęło w ogniu. Ale sprawione szczątki wielkiej armji murem się zwarły. Wąż taboru osłaniany czworobokami dźwignął się, już uchodził.

Nareszcie i dla Luiggiego przyszła upragniona chwila, wreszcie ostatni zator pękł.

Luiggi tchem jednym przypadł do wózka, dźwigającego jego skarb nad skarbami.

Był czas najwyższy. Kule armatnie padały już dokoła. Głuchy łomot tarabanów bił na odwrót. Lada moment wózek mógł znaleźć się w szeregach cofającego się wojska.

I Luiggi już porwał konia za uzdę, gdy osadził go okrzyk Blanki.

— Na Boga — czekajmy na ojca! Idzie, nadchodzi... tam, tam!...

Luiggi odwrócił głowę i oniemiał ze wzruszenia.

Śród pełznących dymów, postrzegł wyniosłą postać intendenta gieneralnego, wspierającą pułkownika-adjutanta, podtrzymującą stryja Delfantiego.

Opatrzność dawała stryjowi za ratownika ojca Blanki!

Zanim Luiggi zdołał ogarnąć bezmiar radości, którą mu ten widok zwiastował, — nad głowami nadchodzących, intendenta i stryja, zawisł biały obłoczek... Ziemia bluznęła wypryskami zmarzłej opoki na wtór ogłuszającemu hukowi... Dwa kadłuby ludzkie zaszamotały się w dymie i runęły...

Luiggi skoczył na pomoc, sekundowany przez nawpół oszalałą ze zgrozy Blankę. Dwa ciała chlustały konwulsyjnie potokami krwi ku szczątkom strzaskanych czaszek...

Blanka padła zemdlona.

Luiggi miał tyle przytomności, że porwał ukochaną, że ujść zdołał przed wtórą kulą, która śladem pierwszej dążąc, zamieniła zwłoki pułkownika Delfantiego i intendenta Villeblanche'a w krwawą miazgę.

Odtąd zaczęło się pasmo niedoli, odtąd dzień każdy nową przynosił Luiggiemu i Blance udrękę. Ból sierocy dziewczęcia, żal Luiggiego po stracie miłowanego stryja i opiekuna nie minęły, lecz jakby stężały w obliczu okrutnej nędzy, głodu i zimna.

Za Orszą padł Luiggiemu koń. Pod Berezyną skończyły się ostatnie okruchy żywności, zabranej ze Smoleńska. Od Wilna gid neapolitański i wytworna córka intendenta gieneralnego tworzyli już parę nędzarzów, łachmanami spowitych włóczęgów, kroplę w bezimiennem morzu rozpaczy ludzkiej. Od Wilna coraz wolniej zdążali, coraz bardziej odstawali. Aż wyminęła ich ariergarda, podjazdy kozackie skoczyły między bandę maruderów i dalej, tropiąc i trawiąc zapamiętale, zepchnęły ze szlaku między bory, na bezdroża.

Wówczas to los przykuł ich do gromadki rozbitków, śród których była Marta, Benoit, baron saski i ten zmarły tu kapitan polak.

Spotkanie z subretką, ze swą przelotną miłostką w Moskwie zdawało się Luiggiemu zbawieniem. Schorzała, wyczerpana Blanka miała towarzyszkę. Krótko atoli trwało to złudzenie. Luiggi odtąd musiał strzedz ukochanej nie tylko przed zdziczeniem żołdaków, nie tylko przed widmem śmierci ale i przed wściekłością rywalki, dzikimi wybuchami rozpasanej kobiety.

Musiał strzedz? — Ach przecież nie zdołał uchronić jej nawet przed pięścią łotrzycy, nawet nie usiłował. Zamarły w nim, zastygły wszystkie uczucia, poddały się jednemu, jedynemu zmysłowi życia, ratowania się, ocalenia.

Miewał błyski świadomości, miewał chwile godziwego widzenia, — lecz chwile jeno, które, na pierwszy syk okapcanego ochłapa koniny, na byle złomek suchara, pogrążały się w mrokach samolubnej chciwości.

(d. c. n.)

(„ZADUMY“, księga druga.)

OBŁĄKANI PTACY.

Bólu nas stuła związała na wieki —
W oczach mi stoisz z pragnienia mdlejąca,
Jak ta dziewanna polna czasu spieki
O cichych, nocnych upojeniach śniąca...
W oczach mi stoisz z pragnienia mdlejąca...

O biedne dziecko niezniszczalnych marzeń,
Przytul się do mnie i zamknij powieki —
Tam kędyś huczą mętne fale zdarzeń —
Jam dla cię pełen braterskiej opieki —
Przytul się do mnie i zamknij powieki...

* * *

Bliscyśmy sobie — zmarnowaną dolą,
Bliscyśmy sobie — w pragnieniach jednacy —
Jedne nas rany bolą — niechaj bolą —
Ku słońcu lećmy — obłąkani ptacy —
Złączeni dolą — w pragnieniach jednacy...

B. Szczęsny Herbaczewski.

Warszawa, 10 czerwca 1912 r.



S O N E T.

Opleć mnie białych ramion syrenią pieszczotą
I jasnowłosą głowę złóż na piersi mojej...
Wówczas spokój wieczoru duszę nam ukoi,
Mrugając dalekiego słońca rzęsą złotą.

I klękniemy u dziwnych tajemnic podwoi,
Ty będziesz mą zadumą, a ja twą tęsknotą,
Aż usta nasze wiecznym całunkiem się splotą,
Gdy ramion czar niebiański pieszczot się nie boi.

Rozkwitłych róż kielichy uwieńczą nam czoła,
Łoże nasze wyściele barwnych mchów mozajka,
Cisza straż niewidzialną rozstawi dokoła...

Przyjdź... natchniona, półsenna modelko Van
[Dycka,
O zadumanych oczach hetery... Anioła!
Przyjdź... tak cudna, tak zwiewna, jak kró-
[lewska bajka.

Stanisław Jerzy Kozłowski.

Paryż, w kwietniu 1912 r.



C. Essarts. (Salon paryski 1912 r.) Przy tualecie.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

26)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

— Fama!.. — odezwała się Maryna z uśmiechem gorzkim.

— Prawda — że *crescit eundo* — dodała ale, bądź co bądź, nawiedzają dwór wasz goście liczni, tak, że nie często samotnicą bywacie.

Maryna wpatrzyła się w Jasieńca. Znać że upajała się pięknością jego twarzy, jego rycerską postawą i słodką głosu melodją; że tłumiła, rwące się z piersi westchnienie; że urok, jaki rzuciła na niego, jaknajdłużej zatrzymaćby chciała.

Od Górków i Miechowitów wiedziała o dawnem miłowaniu jego, dotąd trwającem — i — jeżeli zjawił się tu, w okolicach Ogrodzieńca, pojawienie się to przypadkowem być nie mogło. Przywiodła go tęsknota miłosna, czar wspomnień. Wypadkiem spotkał się z Maryną, której wdziękom nikt się nie oparł. Teraz do walki stanął urok z urokiem, czar z czarem... Przeszłość walczyła z teraźniejszością, wspomnienie z życiem, Dominika z Maryną.

— Czyście nie czuli nigdy samotności wśród tłumu ludzi?.. — spytała — —

Jasieniec zamyślił się...

W pamięci jego przesunął się paromiesięczny pobyt na Smoleniu, gwar podłego tłumu, ruch nieustający, śmiechy, tany i uczty—i więcej się tam czuł samotny, niż w puszczy głuchej, pozostając tylko z myślami własnemi. Pytanie Maryny tchnęło smutkiem ogromnym i powiało — duszy złamanej — nieszczęściem.

— Tak — szepnął — wielka prawda i mądrość wielka jest w waszem powiedzeniu.

Maryna mówiła dalej:

— Słyszeliście o ucztach, wyprawianych na zamku Pilickim; o nawiedzających go tłumach gości. Czyście zauważyli nad wrotami zamkowemi, widniejący już zdala napis: *Salve!?..* Od wieków on tam jest i ni razu znaczeniu swojemu nie uchybił... Miałże by dziś skłamać?.. Dlaczego?..

— Racji nie widzę — odpowiedział Jasieniec.

— Mile więc są witani goście wszyscy, nawiedzający dwór mój... Nie znalazł się jeno taki, któregobym wyróżniła — i w tem jest smutek mój... Mówią żem piękna... Cóż z tego?

Stłumiła westchnienie — —

— Pustka w sercu — szepnęła — a ludzi tłum, a wokół gwar... Jeżeli zaś serca tam czyje biją mocniej i poddają się snom i marzeniom... niezniszczalnym... Mojaż w tem wina?..

— Piękności waszej — rzucił Pełko.

— Skradłam ją komu?..

— Aniołom niebieskim!.. tego nie zaprzeczy wróg wasz największy!.. — zawołał gorąco Jasieniec.

— Więc aniołowie niech skarżą się na mnie — za cóż ludzie?

— O skargach nie wiem nic — jeno o serc palpitacji — rzekł rycerz.

— Zali oczy moje nie władne są potrącać tych zegarów piersi ludzkich?

To mówiąc, utkwiła w źrenicach Jasieńca te cudne, czarne, głębokie oczy swoje.

— Palpitację — rzucił Jasieniec tchem zdławionym.

Obie ręce pani Maryny, te śliczne ręce bóstw greckich, jak dwie konchy różowe nakryły silną, żylastą rękę Jasieńca, którą położoną na stole miał. Dotknięcie było miękkie, ciepłe, jedwabne, pozbawiające zmysłów, mącące rozum — —

— I mówią, że pętam ludzi... Czem?.. Tymi dwoma rąk listkami? — szepnęła —

— Nie wieda człek, co mówi, gdy tak mówi — odpowiedział Jasieniec, poddając się więzom rozkosznym. — Jakoże te dwa listki mogą pętać, niewolić, w jassyr brać mężów dusze twarde?.. Nie sposób!..

— Witam przybywających, odjeżdżających żegnam, ale czy kogo zatrzymuję, za-

praszam, wprowadzam sama w ten dom, gdy jest pusty?..

Odjęła ręce, a Jasieniec, mówiący: „Nie sposób!“ nie wiedział, że nałożone już pęta dźwigał — i — gdy szeptała: „nie zatrzymuję, nie zapraszam“. — „Jużci, że tak!“ miał powiedzieć, ale w tej chwili coś mu te słowa z ust zwiało, myśl zaś zdradziła pytanie: „A jako-żeś się ty tutaj dostał?..“ — Boga mi! żem napisu: *Salve!* nie widział — a siedzę w izbie ciepłej i słodkie popijam wino“.

Potarł czoło, jakby zetrzeć chciał te myśli, mętną napływające falą.

Maryna nie spuszczała oczu z pięknej twarzy Jasieńca. Lekki, powstrzymywany uśmiech zadrgał na jej ustach. Znać czytelne dla niej były te myśli rycerza, bo zakołysała się miękko, niby w rozmarzeniu czy śnie pozostająca i rzuciła czar uśmiechu i rumieniąc się lekko a okna duszy zasłaniając długiemi rzęs firankami, wyszeptała głosem tak cichym, jak szmer fali, trąconej pocałunkiem zefiru, jak echo echa pieśni dalekiej, jak ostatnie skonanie dźwięku harfianych strun:

— Was... prosiłam!..

— Dlaczego mnie? dlaczego mnie tylko —[wyszeptał Jasieniec — —

— Mówiłam już wam, że nie obcą mi była rana waszego serca — —

— I chcieliście mi ulgę przynieść? dać...

— Zapomnienie — jakby lęk czując odpowiedziała Maryna.

Jasieniec się zachwiał... zbladł — a w oczach jego odmalował się przestrach.

— Nie!.. nie!.. — wyszeptał. — Tego uczynić nie władna jest moc niczyja!..

— Moja nawet?..

— Wasza nawet!..

— Ach!.. być tak miłowaną!.. — wybiegło z piersi Maryny.

Była chwila ciszy...

W oczach Maryny dwie duże, jasne stanęły łzy.

— Miłują was — rzekł Jasieniec — —

— Sypiąc parangony i balasy — dodała Maryna—a nozdrza jej zawachlowały dziwnie.

— Zali nie przyjmujecie ich?

— Chodźcie a ja wam pokażę w jakiem są poszanowaniu! — rzuciła głosem, w którym gniew zadrgał.

— Wierzę wam, wierzę! — zawołał Jasieniec, przytrzymując zrywającą się z ławy — — Boga mi! grzesznej myśli nie miałem!.. (d. c. n.)



A. Aubelt. (Salon paryski 1912). Pierwsze kroki.

DO CZYTELNIKÓW.

OD REDAKTORA.

Powołany na inne stanowisko — nie mogę nadal redagować „Złotego Rogu“, zrywając więc dziś nici, które mnie od początku łączyły z Sz. Czytelnikami pisma — czuję się w obowiązku, obok podzięki za życzliwe poparcie, złożyć Im wyrazy serdecznego pożegnania.

Walenty Zieliński.

OD WYDAWNICTWA.

Żegnając ze szczerym żalem dotychczasowego redaktora naszego pisma p. Walentego Zielińskiego — mamy nadzieję, że Sz. Czytelnicy, którzy dotąd darzyli „Złoty Róg“ prawdziwem uznaniem i poparciem, pozostaną i nadal przyjaciółmi pisma.

Ze swej strony zaś możemy zapewnić, że nie będziemy szczędzić ani nakładu, ani pracy, aby dążąc stale po drodze ulepszeń, doprowadzić „Złoty Róg“ do złotego okresu rozwoju.

AMERYKAŃSKIE POMYSŁY.

Jak powszechnie jest już wiadomo, jeden z deputowanych do parlamentu Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki mister Burnett, postawił wniosek, by przeprowadzono uchwałę, któraby wzbroniła zamieszkiwać w granicach posiadłości stanów wychodźcom nieumiejącym czytać. Projekt ten jest zwrócony pośrednio przeciw wychodźcom polskim, bo większość naszych emigrantów jest analfabetyczna. Bezpośrednio jednak tyczy on emigrantów azjatyckich, (japońskich i chińskich) i afrykańskich. Siła bowiem robocza tych „przybyszów" jest bardzo tania, a więc czyni konkurencję tubylczym robotnikom, obywatelom amerykańskim.

Dziwne może się wydać, że parlament amerykański pragnie otworzyć prawo, któreby krępowało nabycie „tanich" rąk pracy. Przecież skoro społeczeństwa wszystkie rządzą się tylko konkurencją, to w amerykańskich stanach wyrosła ona do olbrzymich rozmiarów i stała się niemal przykazaniem boskiem. A jednak pomimo wszystkie te powszechne mniemania, widzimy usiłowania w celu ochrony zarobku i pracy dla swoich obywateli. Świadczy to o specjalnym amerykańskim patrjotyzmie, który jest już dosyć bogaty by sobie pozwolić na taki „humanitarny" w stosunku do swoich wyborców projekt. Gdyby robotnik, obywatel tutejszy nie miał prawa wyborczego, gdyby pośrednio i bezpośrednio nie decydował o większości Izb prawodawczych, napewno mister Burnett nie pokwapiłby się z takim projektem Chodzi o rzecz zwykłą: o głosy wyborcze. Jeżeli uda się mu ten bill przeprowadzić, amerykańscy robotnicy nie omieszkają pokazać jego partji wdzięczności. Przecież bronić on chce tych swoich współziomków przed konkurencją ze strony obcokrajowych przybyszów! Przecież zapewnić chce on popyt tylko na ręce pracowników amerykańskich!

Jeżeli bill ten zostanie przeprowadzony nam, polakom stanie się duża krzywda. Wiemy bowiem ile rok rocznie odjeżdża za ocean naszych chłopów i rzemieślników. Z tego powodu wśród kolonji polskich zawrzało już jak w ulu. Czynią oni wszystko, by przeszkodzić przeprowadzeniu tej uchwały. Walkę tę musimy powitać uznaniem, a jednak nie możemy powstrzymać się od uwag, jakie nasunąć się mogą z racji tego projektu.

Robotnik amerykański, osiadły od pokoleń na „tej świata kapitalistyczno - przemysłowej" połowie, ma zupełnie inne wymagania życiowe, niż kulis chiński, lub nawet polski nasz Maciek czy Bartek. Teatr, książka, a nawet różne sporty stały się jego koniecznością życiową. Zna on doskonale wartość hygienicznego mieszkania i o ile jest to możliwe zawsze stara się mieć osobno sypialnię. Nasi zaś ziomkowie gnieżdżą się po kilkunastu w jednej izdebce. Teatr, gazeta i książka jest jeszcze zbytkiem nawet w wypadku, gdy mają za co ją kupić. Jest to, rozumie się, wina tych specjalnych warunków, w jakich żyjemy. Ale też te „warunki" składają się na to, że nasz emigrant sprzedaje swoją siłę roboczą znacznie taniej, niż amerykanin. Jego zaprzaństwo i ciemnota staje się czynnikiem konkurencyjnym, który wygrywa na rynku popytu na pracę. Nie możemy się z tego cieszyć, ale z drugiej strony, gdy wiemy, że w kraju u nas brak zarobku, popyt ten nie powinien nas też smucić.

Na jedną rzecz tylko winniśmy zwrócić uwagę. Możliwe, że projekt Burnetta jeszcze na ten raz nie przejdzie, ale jest pewna, że kiedyś siłą faktu zostanie uchwalony, gdyż parlament musi czemkolwiek zamanifestować swoją pieczę nad robotnikiem amerykańskim. W Anglji przecież już rząd wstąpił na drogę czynnego rozejmu zatargów pomiędzy kapitałem i pracą. Ameryka więc napewno też nie pozostanie na długo w tyle. Płynie dla nas stąd nauka, że należy wszystkie siły wytężyć, by unieszkodliwić dla naszych wychodźców takie bille à la mister Burnett.

O cóż chodzi? O rzecz niezwykle prostą, która jest... bardzo skomplikowana. A wiecie czemu jest ta rzecz prosta i skomplikowana? Bo idzie o nauczanie analfabetów, które jest sprawą prostą i pożądaną, a jednak wzbronioną. Niby z pozoru u nas, w Królestwie popiera się nauczanie, szkoły, ale faktycznie skutki tego popierania są smutne. Weźmy dla przykładu następującą statystykę. Wykazuje ona ilość dzieci, które uczęszczają u nas do szkoły w wieku od lat 7 do 14. Statystyka ta zasługuje zupełnie na wiarę, gdyż podają ją p. W. Sokołowski i J. Grabiec.

A więc:

gub.	Warszawska	na sto	17.2
,,	Kaliska	,,	15.2
,,	Kielecka	,,	14.5
,,	Łomżyńska	,,	9.7
,,	Lubelska	,,	12.3
,,	Piotrkowska	,,	19.4
,,	Płocka	,,	15.0
,,	Radomska	,,	8.4
,,	Suwalska	,,	6.6
,,	Siedlecka	,,	1.3

Niech liczby mówią same za siebie! Zbyteczny jest wszelki komentarz. Ale niech się nam nie zdaje, że na obszarach imperjum rosyjskiego istnieją inne stosunki. Może tylko w jednej wiatskiej gubernii niema analfabetów, ale to wskutek tego, że ziemstwo jest w rękach chłopów i mieszczan. Trudno jest skutecznie, radykalnie walczyć z analfabetyzmem u nas. Gdyby Duma Państwowa miast

projektów chełmskich opracowała prawo o powszechnem nauczaniu, jak to ma miejsce nawet w Prusach, sprawa byłaby załatwiona. Gdyby! Ale wobec tego, że większości dumskiej pilniejsze są... kwestje galicyjskich rusinów z ich lwowskim projektowanym uniwersytetem, to zapewne rusin galicyjski będzie mógł znaleźć kawałek chleba za oceanem, gdy zajdzie potrzeba, a chłop rosyjski będzie się żywił padliną w lata głodowe. Do Ameryki go nie wpuszczą na równi z polskimi analfabetami. Żadnych przywilejów specjalnych nie stworzą gwoli rosyjskich emigrantów, którzy też płyną za ocean szukać zarobku. Jest więc w interesie zarówno polaków, jak i rosjan, by zmniejszyć analfabetyzm. No, ale nie wszyscy robią sobie coś z tego, co jest w interesie ludzi pracy.

Na razie więc pocieszmy się tem, że nietylko my, polacy mamy opłakane warunki oświatowe. Przykra to pociecha, ale pociecha! Nie zamyka ona jednak pola pracy dla tych, którzy pragną dźwignąć swój lud z niedoli i nędzy. Do nich więc tylko apelować możemy, oni znajdą napewno sposoby, by polski wychodźca umiał przeczytać czterdzieści wyrazów konstytucji amerykańskiej. Konrad Pruszyński (Promyk) wskazał, utorował już nam drogę. Idźmy więc jego śladami i starajmy się wyróżnić naszego chłopa od kulisów i murzynów. Nie zaniechajmy tylko jego mrówczej pracy. Owoce będą dla nas zbawienne, uniezależnią bowiem polskiego nędzarza i dopuszczą go do rynków, na których będzie mógł z pożytkiem sprzedać swoją roboczą siłę...

Kto więc dziś na serjo chce pomódz, zabezpieczyć swoich rodaków przed... amerykańskimi pomysłami, niech czyni wszystko, by w kraju naszym było, jaknajwięcej ludzi, umiejących czytać!

Oświata bowiem — to potęga.





Uczniowie szkoły aplikacyjnej wraz z prezesem teatrów rządowych warszawskich, dyrektorem szkoły oraz profesorami.

TEATR.

Wielkie Bractwo. Kawiarenka.

Teatr wyprzedany po brzegi. Zajęte są nawet loże wiecznie świecące pustkami. Na sali nastrój „świąteczny“, a równocześnie jakiś uroczyście sztywny spleen rozsiadł się w fotelach. Zgóry wszyscy usposobieni byli sceptycznie dla wznowienia. Widziało się przecież to „Wielkie Bractwo“ i zdziwienie mogło każdego ogarnąć, że pierwsza scena polska na takie błahostki traci tyle energji i zachodu. Odsłona za odsłoną nastrój zmieniał się na sali. Pomaleńku „sztywna“ publiczność zdradzała się śmiechem, że na „wielkiem bractwie“ trzeba zachowywać się niefrasobliwie, a więc uroczyste miny są zupełnie zbyteczne.

Grano bowiem tę „farsę“ koncertowo. Taki zespół jest spotykany rzadko. Szkoda tylko, że grano w sztuce starej i błahej! Mamy przecież tyle nowości autorów współczesnych, (Topiel. Przybyszewskiego) leżą w bibljotekach arcydzieła literatury europejskiej. Farsę prowadzi u nas p. Śliwiński—poco więc jeszcze jeden teatr oddawać na użytek lekkiej Muzie.

Kamiński grał po mistrzowsku. Typ jego dentysty na długo każdy zapamięta. Reżyserja też bez zarzutu. Wystawa znośna. Z aktorów najgorzej grał p. Osterwa. Zamiast postaci tworzył jakąś karykaturę.

„Kawiarenka“ w Nowym nie dodaje laurów do wieńca sławy panu Śliwińskiemu. Chyba tylko dla gry Fertnera warto ją zobaczyć. Bo pozatem widzieliśmy to wszystko już tysiące razy i to w znacznie lepszem opracowaniu scenicznem. Świetnie, jak zwykle grał Knapczyński, śmieszył Trapszo i Jarszewski. Z pań wyróżniła się p. Dębnicka. Trystan Bernard ani marzył pewno, że znajdzie kiedy taką miłą interpretatorkę dla swojej postaci. *E. C.*

Popisy szkoły aplikacyjnej.

Na scenie teatru Rozmaitości odbył się popis doroczny warszawskiej szkoły aplikacyjnej. Nie można nie prorokować o przyszłości uczniów, którzy się nam przedstawili. Wykazali oni, że pracowano nad nimi; niektórzy nawet chwilami umieli wzbudzić zainteresowanie dla swojej interpretacji, ale całość jednak nie wychodziła poza ramy aktorskich szablonów, w których kazano im trzymać na wodzy uzdolnienie. Stosunkowo dobrym był p. Miszkiewicz; odegrał on dosyć umiejętnie urywki z „Urjela Acosty“, „Esterki“ i „Wesela“. Dobre warunki sceniczne ma p. Izdebski. Jego mistrz Henryk (Dzwon zatopiony) wyglądał bardzo sympatycznie.

Z sił kobiecych trzy panie wyróżniły się korzystnie—panna Rutkowska, p. Orłowska oraz p. Elkorn. P. Rutkowska robiła Rusałkę z „Dzwonu“, p. Orłowska Eufrozynę ze „Skąpca“ Moliera, a p. Elkorn wypowie-

działa poprawnie rolę Spinozy z „Urjela Acosty“.

Poza tymi zwrócili na siebie uwagę następujący uczniowie i uczennice: Chmielewski, Kamocki, Oksza, Zgleniecka i Łapicka.

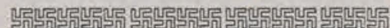
Podobno p. Izdebski jest już zaangażowany na scenę teatru Rozmaitości. W stosunku do lat ubiegłych popis nie dostarczył żadnych zmian czy to w kierownictwie literackim czy też w doborze pedagogicznym. *C.*

Ś. p. Teresa Prażmowska-Wołowska.

Z grona zasłużonych krajowi obywateli ubyła czcigodna postać ś. p. Teresy Prażmowskiej-Wołowskiej. Przez szereg lat była ona jedną z tych, co krzepią nadzieje w młodych pokoleniach. Stała ona na czele mnóstwa instytucji pedagogicznych, wielce się przyczyniła do uszlachetnienia typu polskiej emancypantki. Nad grobem przemawiał imieniem Kasy literackiej p. Zdzisław Dębicki. Panie Sokołowska i Wołowska pożegnały też zwłoki ś. p. Teresy Prażmowskiej słowem nadgrobnem.



Ś. p. Teresa Prażmowska-Wołowska
znana beletrystka i działaczka społeczna.



Na przełomie.

Redaktor powszechnie znanego „Sfinksa“ rzucił na rynek księgarski nową serję poezji, którą nazwał „Na przełomie“. Tom ten mieści w sobie wiele tonów przypominających ubiegłe lata walk. Obok jednak tego przekonywającego idealizmu lat rewolucyjnych w poezjach Bukowińskiego panuje pierwiastek jeszcze inny. Bukowiński poza całym idealizmem haseł, w które wierzy, jest smutnym, cichym, rozełkanym melancholikiem. Z dwuch więc pierwiastków składa się jego poetycka jaźń: wiara w humanitarne ideały i smutny, polski ból kolejno przesuwają się po strunach jego harfy.



Władysław Bukowiński
poeta, red „Sfinksa“.

Idealizm Bukowińskiego może iść śmiało w zawody z niezmordowaną wiarą w jutro wszystkich naszych walecznych judymów. Rzeźka jego młodość skrzy się symfonją „apostrof“, „hołdów“, nawoływaniem „Naprzód...“

I dziwne jest tylko, gdy Bukowiński śpiewać pocznie pejzaż nasz rodzinny, znika ów nieznużony ton. Zdawałoby się bowiem, że skoro umie nawoływać, rozkazywać i tu w przyrodzie znajdzie dla siebie motywy stojące na poziomie jego idealnej wiary. Wobec przyrody polskiej jednak reaguje jego wrażliwość poetycka tylko dźwiękami melancholji. Charakterystyczny jest wiersz jego p. t. „Chryzantemy“. Wyznaje w nim poeta: „Fjoletowe, złote chryzantemy — kwiat jesienny posyłam ci w darze... W jesień złotą już i my płyniemy, lecz o wiosny czarach jeszcze marzę...“ Wiersz ten ukazuje właściwe wnętrze Bukowińskiego. Nawiasem mówiąc jest to jeden z najlepszych sonetów literatury polskiej, no i stanowczo najpiękniejszy wiersz zbiorku.

Szereg przekładów z Musseta, Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa i Gorkiego uzupełnia całość książki i wykazuje, że Bukowiński jest dobrym tłumaczem. Doskonale przełożony jest wiersz Gorkiego: „Omdlewa serce, ustają nogi, a wyjścia brak...“

Zbiorek niniejszy świadczy wymownie jak pomylili się nasi historycy literatury p.p. Feldman i Potocki. Obydwa tylko kilkowierszowemi wzmiankami omówili całą działalność Bukowińskiego, jako poety, publicysty, krytyka i redaktora. Publiczność nasza wobec takich wiernych syntez tylko na nieporozumienia jest narażona. Otóż uważamy za swój obowiązek podkreślić ową niczem nieusprawiedliwioną nonszalancję panów historyków. Nawołujemy przeto do przeczytania „Na przełomie“, a każdy kto przeczyta, sam się najlepiej przekona.

Kartę tytułową zdobi rysunek Stanisława Wyspiańskiego.

Nagroda... i kara.

Telegramy w tych dniach przyniosły wiadomość, że p. Bolesław Herbaczewski otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie poznańskim za jednoaktowy utwór sceniczny p. t. „A konwalje gdy zakwitną“. Równocześnie zaś kronika sądowa zanotowała nazwisko laureata na liście skazańców prasowych. Skazano p. Herbaczewskiego na rok twierdzy za przedmowę do poezji p. Jarocińskiego. Jak wiadomo, p. Herbaczewski należy do rzędu tych młodych poetów, którzy hołdują czystej sztuce. Próbkę talentu jego podajemy w pierwszym dziale naszego numeru.



Bolesław Szczęsny Herbaczewski
poeta, laureat konkursu poznańskiego, skazany na rok twierdzy.



Wystawa Sportowo-Przemysłowa. Przed głównym pawilonem.

Wystawa Sportowo-przemysłowa.

Można powiedzieć, że teraz dopiero wystawa na placu Agrykola dosięga kulminacyjnego swego punktu. Sportowego jej charakteru niepodobna było zaznaczyć samem tylko zgromadzeniem artykułów i przyborów sportu. Taki np. dział specjalny jak myśliwstwo, ma coś więcej prócz techniki na zadokumentowanie swego rozwoju: ma mianowicie zbiory myśliwskie, kolekcje trofeów, których zestawienie i przegląd daje wyraźną już miarę rezultatów osiągniętych w tej dziedzinie sportu. Te właśnie zbiory jak wspominaliśmy już, przedstawiają się nader bogato zarówno liczebnie jak i co do jakości. Tablice łowieckiej statystyki i wykazy gospodarstw łowieckich, uzupełniają ten przegląd, tak że można już dojść w tym kierunku do pewnego całokształtu pojęcia o stanie sportu myśliwskiego u nas.

Ale inne dziedziny sportu nie są w tak szczęśliwem położeniu. Sport konny, jeździecki np. — rezultaty jego rozwoju pozostają tylko jako cyfra protokularna, jako wspomnienie, ale nigdy jako realny, konkretny przedmiot.

Pan Tadeusz Dachowski jest pod tym względem unikatem jako wystawca. Zgromadził on w ogromnej witrynie wszystkie w ciągu lat od 1896—1911, przez siebie i swoje konie wygrane nagrody honorowe i wystawa ta rzeczywiście imponuje. Ale nie wszyscy mogą się takimi zbiorami pochlubić i nie są one koniecznością, jako dowód wprawy sportowej, której stopień najlepiej tylko z naocznej oceny da się osądzić. To samo odnosi się do wszystkich innych rodzajów sportu, jak tennis, gimnastyka, foot-ball, atletyka i t. p., dlatego wystawą tych sportów są właściwie dopiero konkursy. Pierwsza część tych konkursów — hipiczna — już się odbyła i zamieściliśmy o niej sprawozdanie. Inne części stanowią właśnie atrakcję codzienną na placu wystawy i w następstwie zajmiemy się niemi jako wystawowym popisem i dokumentem naszego sportu.



Wystawa Sportowo-Przemysłowa.
Rzeźba Czarnowskiego p. t. „Z drogi!"

W dopełnieniu podanego już w zeszłym tygodniu przeglądu zgromadzonych na wystawie firm i eksponatów, na wyróżnienie zasługują wystawy „Krzysztofa Bruna i Syna" przedstawiające bogaty dobór wyrobów naszego przemysłu metalowego w estetycznym układzie zgromadzonych, praktyczne aparaty do gaszenia ognia „Eureka — Bohater", bardzo się nadające do szerszego zastosowania; wystawa wyrobów młynarskich firmy „Erlanger" z Moskwy.

W pawilonie myśliwskim jest jeszcze ciekawa wystawa ptaków i zwierząt wypchanych p. A. Łastowskiego, odznaczająca się rzadkością okazów i doskonałem ich preparowaniem. Tłumy publiczności korzystały z ustalenia się pogody, zwiedzając wystawę w ostatnich dniach świątecznych. Szczególną atrakcję stanowiły popisy sportowe a przedewszystkiem barwność prześlicznego terenu, gdzie w cieniu drzew, zdala od zgiełku i kurzawy miejskiej, odetchnąć czystem powietrzem i tyle ciekawych rzeczy zobaczyć można.

Śmierć Wilbura Wrighta.

Wilbur Wright wraz z bratem Orvillem należą do historji ludzkości. Dzięki ich niezmordowanej energji ludzkość u ramion swoich ma realne skrzydła, które w przyszłości wywołają jeszcze nie jeden przewrót w dziedzinie techniki. Wilbur Wright urodził się w r. 1867 w Henry County, jako trzeci syn z rzędu. (Orville ur. w r. 1871 w Duyton).

Na obydwuch braci zrobił ogromne wrażenie motyl samofruwający, który im przywieziono w r. 1878. Później dopiero próby Lilienthala (1891-94) zwróciły ich w kierunku badań nad maszyną powietrzną. Upadek i śmierć tragiczna Lilienthala (1896) skłoniły Wilbura do zastanowienia się nad przyczynami tego nieszczęścia.

Prób jednak z samolotem nie zaniechali. Przez długi czas lekceważono ten wynalazek; dopiero zastosowany motor samochodowy do aparatu (w 1905) okrył Wrightów sławą wszechświatową. Na zaproszenie Francji przybył w roku 1908 do Europy Wilbur, ale nikt nie wierzył w „amerykańską bajkę“. Zadziwił i podbił cały świat wzlotami trwającymi po kilka godzin i na wysokości kilkuset metrów. Wynalazek był dokonany.

Umarł w Ameryce swojej ojczystej. Zostawił po sobie wiekopomne dzieło wynalazcze.

Nuncjusz Scapinelli w Wiedniu.

Stolica apostolska osadziła w Wiedniu nowego nuncjusza, kardynała Scapinellego. Nowy nuncjusz nie należy jeszcze do wyraźnych postaci politycznych. Wpływy jego poznamy dopiero w przyszłości. Ludność Wiednia wita go entuzjastycznie. Cesarz Franciszek-Józef przyjął go na umyślnej audjencji. Rycina, którą zamieszczamy przedstawia właśnie podobizny nowego posła watykańskiego przy dworze austrjackim. Placówka ta jest jedną z najpoważniejszych dla kościoła katolickiego. Sądzimy więc, że wysłała kurja napewno człowieka, który godnie podoła wzniosłemu zadaniu katolickiego duszpasterza, a jednocześnie męża stanu.

Przegląd polityczny.

Tydzień przeszły przyniósł szereg wstrząsających nowości. Życie parlamentarne w Budapeszcie zaogniło się w sposób niebywały. Rozległy się strzały nawet w sali posiedzeń. Strzelił poseł Kovats do Tiszy. Strzał chybił i wtedy Kovats zwrócił lufę w swoją pierś. Śmiertelnie ranił się. Gieneza wszystkich tych zajść wyprowadza się jeszcze z byłego ministerjum hr. Khuena-Haderwary. Rozłam między rządem i parlamentem powstał na tle branki wojskowej, którą miano urządzic dla zapasowych żołnierzy. Obecnie wypływa też na powierzchnię żądanie powszechnego głosowania.

W związku z zajściami na Węgrzech, stoi też sprawa Chorwacji i cesarskiego namiestnika Cuwaja. Ludność Chorwacji była do głębi oburzona na rządy pana namiestnika, który podobno swoją karjerę zawdzięcza



Wilburg Wright i król Edward VII.



Nuncjusz papieski Scapinelli dąży na audjencję do cesarza Franciszka Józefa.

temu, iż był... feldfeblem, a więc z ścisłością feldfebla wypełnia wszystkie autokratyczne polecenia węgrów. Postępowanie jego dopełniło czary goryczy. I znów rozległ się strzał, który chybił. Sprawcę zamachu aresztowano. Jest nim student uniwersytetu Jugies. Podczas własnej ucieczki zabił on jednego z ścigających go policjantów.

Reforma wyborcza we Francji skupiła obecnie uwagę wszystkich poważnych polityków. Z tego powodu zrobiono cały szereg interesujących wywiadów u najbardziej wpływowych deputatów i senatorów. Prawie wszyscy oni są przeciw proporcjonalnemu prawu wyborczemu. (Combes, Buisson). Lansują to prawo skrajni lewicowcy i prawica, gdyż w ten sposób uda się im osłabić republikańską większość. Obecnie nowy projekt w tej sprawie ogłosił prezes izby Poincaré. Projekt polega na tem, że ilość posłów będzie oznaczona nie w stosunku do wyborców, lecz do całej ludności danego okręgu.

Ciekawy incydent wydarzył się obecnie w Radzie Państwa. Na jedno z posiedzeń nie zjawiła się przewidziana przez prawo liczba członków. Na posiedzeniu tem miano rozpatrywać i uchwalić decyzję w sprawie chełmskiej. Pewne uchwały mimo to powzięto, które de facto są nielegalne, gdyż nie zostały przeprowadzone przez przewidzianą przez prawo liczbę członków. Chodziło o wydzielanie i przyłączanie różnych powiatów do przyszłej gubernji chełmskiej, przeciw czemu protestował energicznie pos. Szebeko na zebraniach, które się odbyły przed dniem owego „strajku" posłów.

Ciekawe, że zarówno opinja prawicowa, jak i lewicowa w danym wypadku godzi się, że uchwały były przeprowadzone nieprawnie, a więc żąda ponownego rozpatrzenia. „Nowoje Wremia" monituje tylko polaków-posłów, z których to „winy" uchwały nie mogą być zalegalizowane.



Ambulans wojenny: felczerzy, lekarze i służba szpitalna przy pracy.

Parlament belgijski przedstawiać się będzie w nowej swojej kadencji w sposób następujący: Wszystkich posłów jest 186 (20 posłów więcej, niż w poprzedniej radzie). Liberałów 45, socjalistów 38 (o trzech więcej niż poprzednio), klerykałów 101, demokratów chrześcijańskich—2. Większość klerykalna wynosi więc 16 głosów.

Senat zaś belgijski składać się będzie z 93 senatorów; w tem 54 klerykałów, 31 liberałów i 8 socjalistów.

Ciekawą statystykę śmiertelności co do wieku wśród robotników, podaje jedno z pism prowincjonalnych. Kamieniarze przeciętnie umierają w 36 roku życia, szklarze (hutnicy) 35 lat, robotnicy w przemyśle bawełnianym lat 48, garncarze 53, pozłotnicy 54, brukarze 54, murarze 56. Autor tej statystyki wnioskuje z tych faktów, że śmiertelność wśród robotników jest większa, niż wśród klas pracujących umysłowo. Za statystykę tę i wniosek składamy odpowiedzialnośc na autora. Zdaje się, że jest jednak prawdopodobna, gdyż robotnicy mają przykre warunki hygieniczne, a więc odbija się to napewno na ich zdrowotności i długości życia.

Papież w osobnym liście pa-



Wielkie manewry armji francuskiej. Wojsko i wywiadowcze aerostaty.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę za kwartał III-ci.

sterskim potępił zakusy niemieckich chrześcijańskich demokratów i związków robotniczych, którzy pod płaszczykiem religji starali się robić różne szwindle polityczne.

TYPY I TYPKI.

TELEFONISTKA.

Przy szwedzkim aparacie,
Gdzie mnóstwo świateł lśni,
W telefonistki szacie
Najlepsze spędzam dni.
Mam szum i zamęt w głowie,
Do życia tracę chęć:
Spytacie, jak się zowię?
Numer 905.

Miast nerwów mam już szmaty,
Drży serce, ręce drżą,
Wciąż łączę aparaty,
Co mówić z sobą chcą.
Wymyślań darzy stekiem
Kto tylko ma złą chęć,
Bom jest – miast być człowiekiem—
Numer 905.

Wolałabym w niewoli
Tatarskiej branką być,
Niż pośród ciężkiej doli
W jasyrze szwedzkim tkwić.
Tam by do wyższych szczebli
Wzniósł mirzy syn lub zięć,
Tu jestem jednym z mebli,
Numer 905.

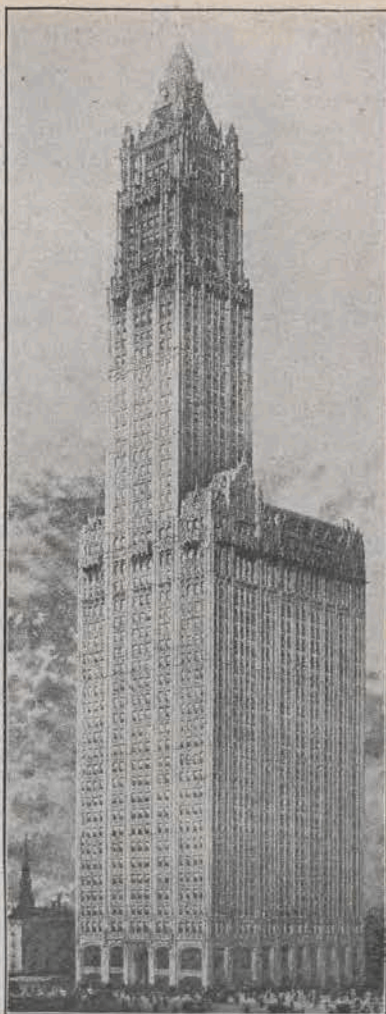
Tu nieraz się natrudzę
Noc całą albo dzień,
Wciąż w aparaty cudze
Stukając: deń... deń... deń...
Wytchnienia próżno szuka,
Dusza wśród losu cięć,
Znajdźie — gdy kto zastuka
W numer 905.

Krogulec.



Najwyższy dom na świecie.

W New-Yorku zbudowano jeszcze jeden gmach, o niebywałej wprost wysokości. 54 piętra ma ten nowy drapacz. Cały składa się z żelaza, betonu oraz kamieni. Kosztował 75 miljonów franków. Właścicielem jest p. W. Building. W Europie nie



Nowy drapacz nieba w New-Yorku 54 piętra wysoki. Zbudowano go z żelaza i betonu.

mamy jeszcze takich okazów i zdaje się, że jest to dla zdrowotności naszych miast bardzo korzystne. Bo gdyby postawić takie gmachy na wązkiej uliczce, to do dolnych pięter nie dochodziłoby nigdy słońce. W Paryżu też mieszkania na dole są w takim wypadku najtańsze. Podziwiać należy owe budowle—olbrzymy, ale tęsknić za niemi nie mamy powodu.

480 tysięcy za obraz.

Za taką sumę sprzedano na publicznej licytacji obraz Henryka Regnaulta „Salome". Ciekawe są losy tego obrazu. Znawcy nie zaliczają go do pierwszorzędnych płócien Regnaulta. Dopiero w ostanich czasach dzięki sprytnej paryskiej reklamie, urządzono nagankę na... kieszenie bogatych miłośników sztuki, podając niebywałe zainteresowanie się obrazem sfer artystycznych. Podobno od Regnaulta kupił ten obraz jeden z kunsthaendlerów za 15,000 franków. Podobno! Nie można przecież sprawdzić tej sumy. Następnie za trzy razy tyle sprzedał ten obraz Pani de Cassin. W ostatnich czasach Louvre postanowił wykupić ten obraz z prywatnych rąk i załączyć go do swoich skarbów. W sprawie tego kupna utworzono nawet subskrypcję narodową. Wraz z sumą przeznaczoną przez państwo, przedstawiciel Louvru miał do rozporządzenia 350,000 franków. Przelicytowano go jednak. Zrobił to rozumie się amerykański przedsiębiorca, który wyśrubował cenę do 480,000 tysięcy. W prasie podniosły się krzyki, wobec czego p. Knoedler (tak się nazywa ów amerykanin) zgodził się odstąpić Salome za sumę, którą sam zapłacił...

Znawcy stosunków twierdzą, że sprzedaż tego obrazu jest jednym z wielkich bluffów paryskich.

Są nawet i tacy, którzy podejrzewają, że p. Knoedler dużo zarobi, jeżeli odstąpi „Salome" za cenę, którą sam podał.



„Salome" obraz Regnaulta, sprzedany na licytacji za 480000 franków.

Fabryka cukrów Stanisława Pruszkowskiego,

Warszawa, ulica Srebrna, № 14. Telefon № 23-61.

Osobom, zwiedzającym wystawę sportową, rzuca się w oczy przy głównej drodze, wiodącej do pawilonu myśliwskiego, lekki i wytworny kiosk, w którym wystawione są przeróżne słodycze.

To kiosk firmy „Fabryka cukrów Stan. Pruszkowskiego", mieszczącej się przy ul. Srebrnej Nr. 14, tel. 23-61.

Firma to nie nowa. Istnienie jej liczyć należy już na lat kilkanaście. Pod firmą „Progress" wyrabiała ona przeróżne słodycze, obsyłając niemi różne rynki zarówno krajowe, jak i zamiejscowe, lecz działalność jej obracała się w szczupłych ramach.

Dopiero w r. 1907, gdy przeszła pod energiczny i pełen inicyatywy kierunek p. Stanisława Pruszkowskiego, poczęła rozwijać się coraz bardziej, aż nareszcie stanęła na stopniu dzisiejszego rozwoju.

W obecnej chwili w fabryce pracuje imponująca cyfra 207 robotników, w czem jest 120 kobiet i 87 mężczyzn.

— To wszystko są polacy, — odrzekł na zapytanie nasze p. Pruszkowski — oprócz kilku majstrów specyalistów, sprowadzonych z Wiednia, Kopenhagi i Moskwy, innej narodowości fabryka moja nie zatrudnia.

Dla poruszania maszyn w fabryce mojej, zastosowałem siłę elektryczną. Funkcyę tę spełnia 7 motorów, o sile 50 koni.

— Skąd pan sprowadza produkty surowe?...

— Przeważnie przerabiamy krajowe, mianowicie, cukier i syrop. Owoce zaś, oprócz krajowych, sprowadzamy z Litwy, szczególnie zaś jabłka.

— Jaką jest produkcya roczna fabryki.

— W roku bieżącym doszła do względnie olbrzymiej cyfry 650.000 rubli, lecz stale i znacznie się powiększa, tak, że w roku przyszłym będzie znacznie większą. Wyroby moje skutecznie i z powodzeniem konkurują z fabrykami cukiernianemi rosyjskiemi, które dotychczas zalewały wyrobami swemi rynki Królestwa. Teraz systematycznie wypychają je wyroby moje, zajmując należne im stanowisko i spychając tamte na właściwe miejsce.

Miarą wielkości zapotrzebowań i zbytku służyć może to, iż w sezonie fabryka moja wyrabia chałwy po 150 pudów dziennie.

Dotychczas towar ten dostarczały fabryki rosyjskie, które wyrób mój wyrugował.

Rynek zbytu słodyczy mojego wyrobu rozszerza się stale, coraz szersze zataczając kręgi.

Do niedawna kontentowałem się zdobyciem rynków Królestwa, dążąc do tego, by wyroby moje dominujące na nich zajęły stanowisko.

Dokonawszy tego, począłem rozszerzać swą działalność, sięgającą już po za granice Królestwa.

Inicyatywa moja spotkała się z powodzeniem.

Obecnie wyroby moje rozchodzą się w znacznej ilości w Galicyi, na którą jeneralnym i jedynym przedstawicielem jest powszechnie znana i popularna firma Hawełki w Krakowie.

Ponadto towar swój wysyłam w znacznych ilościach do W. Księstwa Poznańskiego, Szwajcaryi, Berlina, Paryża i t. d.

Przekonałem się, że zdobycie rynków zagranicy dla wyrobów dobrych nie jest rzeczą bardzo trudną...

W przekonaniu tem utwierdzają mnie coraz większe i liczniejsze obstalunki, napływające stamtąd, tak że zamyślam o zawiązaniu stosunków z innemi centrowniami handlowemi Europy.

W Warszawie zaś i Królestwie niema dziś prawie sklepu, któryby nie posiadał wyrobów moich, wyrobów, które, nawiasem mówiąc, cieszą się wielkiem uznaniem konsumentów, a przez to i stałem powodzeniem.



Kiosk fabryki cukrów Stan. Pruszkowskiego na wystawie przemysłowo-sportowej.

Dobroć towaru mówi sama za siebie, przekonywa kupujących, i że przekonywa skutecznie, najlepiej świadczy coraz bardziej wzrastający zbyt moich wyrobów

Że wyroby moje są lepsze od osławionych rosyjskich, najlepiej świadczy to, że wiele firm zastąpiło je mojemi, ku zadowoleniu publiczności.

— A jakież są specyalności fabryki pana?

— Jest ich kilka. Staram się produkcyę moją uczynić możliwie wielostronną, wiedząc dobrze, że to wyjść może tylko na korzyść przedsiębiorstwa.

Fabryka moja wyrabia: Marmolady w przeróżnych gatunkach, biszkopty angielskie, irysy, chałwę „Progres", która w niedługim czasie zdobyła sobie tak powszechne uznanie, montpensier, dragées i inne.

Tych ostatnich w Warszawie dotychczas nikt nie wyrabiał i kupcy sprowadzali je z fabryk rosyjskich

Dziś sytuacya zmieniła się znacznie. Fabryka moja wyrugowała z rynku i te wyroby fabryk rosyjskich, i w zupełności zaspokaja zapotrzebowanie tego artykułu.

Jedną z tajemnic powodzenia mego—ciągnął dalej p. Pruszkowski—jest zapewne i to, że kładę silny nacisk na dobroć produktów, z których wyroby moje są wykonywane.

U mnie wszystko użyte być musi w gatunku najwyborowszym, a zwłaszcza nie może być nic takiego, coby szkodę zdrowiu przyniosło, czego zbytnio nie przestrzegają inne pomniejsze fabryki, oddając towar swój tanio, lecz w lichym gatunku.

Powodzenie obowiązuje, — i w myśl tej zasady nie ustępuje ani na chwilę w swej pracy.

Zająwszy w handlu i przemyśle naszym placówkę, zajętą dotychczas przez fabryki obce, stać na niej będę wytrwale, nie tylko nie pozwalając się z niej usunąć, ale, przeciwnie, coraz szersze zataczając kręgi.

Wiem dobrze, że dokonać tego mogę tylko wytrwałą pracą i doskonaleniem wyrobów swoich. Tą drogą iść będę i, pewien jestem, że na niej zwyciężę. W połowie drogi nie stanę, a dalej wytrwale dążyć będę aż do szczytu doskonałości wyrobów naszych .

Muszę zająć wszystkie placówki, zajęte dotychczas przez obcych.

Te pełne energii słowa pioniera naszego przemysłu przekonały nas, że w zamierzeniach swoich wytrwa i że zdobędzie z pewnością to, o czem marzy i do czego dąży

Życząc mu szczerze powodzenia, opuściliśmy zakład jego.

Szerszej zaś publiczności, pragnącej zapoznać się z wyrobami fabryki p. St. Pruszkowskiego, radzimy zwiedzić kiosk jego na wystawie sportowo-przemysłowej, a na pewno żałować tego nie będzie.

S.



Konflikt marokański. Rekonesans powstańczy na piaskach pustyni.

Konflikt marokański.

Wrzenie w Maroku przybrało rozmiary niebywałe. Przez kilka tygodni krwawe przychodziły wieści. Francuzi formalnie musieli zdobywać dla siebie tę kolonję. Dużo kosztowało Francję i kosztować będzie w przyszłości utrzymanie przy sobie tych terytorjów. Niemcy robią wszystko, by wciągnąć Francję w zatarg europejski. Gdyby nie Anglja, już pewno przy słynnej aferze z wysłaniem „Panthery", byłyby Niemcy urządziły swoje interesy i wyciągnęły kasztany z ognia rękami francuzów. Nie udało się to wtedy, a więc probują teraz na nowo. Maroko obecnie jest w stanie wojennym. Rycina nasza przedstawia jak wygląda wśród piasków rekonesens. Podobno, że z ustąpieniem Mullej-Hafida zapanował względny spokój.

Popisy sportowe na placu wystawy w Parku Agrykola.

Ubiegła niedziela zaznaczyła się na wystawie Sportowo-Przemysłowej przedewszystkiem otwarciem pawilonu wioślarskiego i popisami koła gimnastycz-

nego wioślarzy. Wstęgę zamykającą pawilon, przecięła o 4-ej po poł. księżna Woroniecka, małżonka prezesa komisji gier ruchowych, poczem przemawiał p. Lucjan Kobyłecki, wice-prezes wioślarzy, których drużyna licznie asystowała uroczystości. Następnie rozpoczęły się popisy koła gimnastycznego na boisku pod kierunkiem p. Nebla, w których wzięło udział 45 członków klubu i 36 uczniów koła. Precyzja i sprawność w wykonywaniu ćwiczeń oraz doskonała rytmiczność ruchów całej drużyny, wykazującej wysokie już sportowe wyrobienie, zyskały ogólny poklask licznie zgromadzonych widzów, a pana Nebla, dzielnego kierownika tej dziarskiej drużyny spotkała sympatyczna owacja ze strony kolegów-wioślarzy i uczniów. Następnie rozdano odznaczenia kierownikom zastępów młodzieży szkolnej, mianowicie uczniom szkół: Konopczyńskiego, Wróblewskiego i innych, p.p. Stefanowi Olchowiczowi, Janowi Gebethnerowi, Tadeuszowi Jagidzkiemu i Witoldowi Michalskiemu. O godzinie 10-ej wieczorem na boisku od strony głównej hali odbył się jeszcze efektowny popis ćwiczeń, wykonanych przez 12 wioślarzy maczugami oświetlonemi elektrycznością w niebieskim i czerwonym kolorze. Popis ten raz jeszcze wykazał wielką gimnastyczną sprawność i doskonałą rytmikę ćwiczeń tej drużyny.

W tygodniu bieżącym odbywać się będą zapasy drużyn ubiegających się o stypendjum Edwarda hr. Raczyńskiego.

Ułaskawienie pani Katty Małeckiej.

Izba Sądowa skazała p. Katty Małecką na cztery lata robót ciężkich za należenie do polskiej partji socjalistycznej. Z tego powodu przyszło do interpelacji w angielskiej izbie parlamentarnej, gdyż p. K. Małecka jest obywatelką angielską. Ostatecznie sprawa została załatwiona w ten sposób, że p. Małecka zwróciła się z prośbą o łaskę Monarszą. Odpowiedź otrzymała przychylną, zażądano tylko, by opuściła granice państwa rosyjskiego. Pani Małecka obecnie jest już za granicą.



Katty Małecka, obywatelka angielska, w tych dniach ułaskawiona.

Odpowiedzi, rady i wskazówki.

Puławiance. Puder „Iris" jest istotnie nieszkodliwy, nie zawiera bowiem ani bizmutu, ani ołowiu, ani wogóle żadnych środków, szkodliwie działających na cerę. Przeciwnie — puder ten zabezpiecza cerę od wpływów ostrego powietrza, i konserwuje ją. Ważną zaletą pudru „Iris" jest to, że przylega niedostrzegalnie do skóry i nadaje cerze wykwintną matowość. Jest w czterech kolorach: biały, blado-różowy, różowy, żółty.

Panu W. L. Najwięcej zalecanymi obecnie przez lekarzy środkami do zębów są: krem, eliksir i proszek „Tlenol" prof. N. Cybulskiego.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu, rocznie rb. 4.— półr. rb. 2.— kwart. rb. 1.— Numer pojed. kop. 10,
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt. „ „ 4.60 „ „ 2.30 „ „ 1.15 halerzy 25.
Za granicą i za oceanem „ „ „ „ 5.— „ „ 2.50 „ „ 1.25
W Austrji i Galicji „ „ „ 12 kor. 50 h. „ 6 kor. 50 h. „ 3 kor. 30 h. Zmiana adresu—20 k.

Prenumeratorowie przybywający od II-go kwartału otrzymują początki drukujących się powieści; opłacającym prenumeratę za I-szy kwartał, wysyła się komplety pisma. Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU" w Warszawie Mazowiecka № 5, wszystkie poważniejsze księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 kop. **Reklamy**—40 kop. **Ogłoszenia** na kolumnach bez tekstu i na 3 str. okładki 20 kop. **Na 4 str. okładki**—30 kop.

Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień".

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz Eustachy Czekalski.

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45. Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17

Szanowny Panie!

Skoro Pan wieczorem, po pracowicie spędzonym dniu, wrócisz do domu zmęczony duchowo i wyczerpany fizycznie, proszę nie sięgaj Pan do bocznej kieszeni po papierosa, który i bez tego już tyranizował Pana przez cały dzień i trzymał w naprężeniu pańskie nerwy.

Praca mechaniczna będzie dla Pana dobrą i pożyteczną rozrywką, więc przyjrzyj się Pan w jaki sposób oprawia lampę naftową pańska pokojówka, nieposiadająca przecież wogóle żadnych wiadomości technicznych. Jeżeli tu i owdzie cośkolwiek Pan pomożesz lub pokażesz służącej, jak się należy obchodzić z mechanizmem lampy, jak się oczyszcza palnik i knot, wówczas osiągniesz Pan prawdziwą i rzetelną przyjemność, jako skutek swojej małej pracy, skoro jasne łagodne światło lampy, przy czytaniu dobrej książki, ułagodzi zupełnie pańskie nerwy.

Oświetlenie spokojne, równe, łagodne i hygieniczne osiągnąć jednak można tylko przez użycie

NAFTY „KRYSZTAŁ“

TOW. BR. NOBEL,

która stanowi najwytworniejszy produkt naszego stulecia. W Warszawie możesz Pan dostać „KRYSZTAŁ“ przy ul. NIECAŁEJ NR. 4 (telefon 223-20 i 223-40) i mianowicie po cenie detalicznej, która nie przewyższa ceny nafty zwyczajnej w sklepach; prócz tego nafta „KRYSZTAŁ“ jest dostarczana bez kosztów do mieszkania, bez podwyższania ceny.

Jednak niema dotychczas praktyczniejszego mydła nad

PERFEKT

Bez PERFEKTU, mydła do wszechstronnego użytku, nie może się obejść zarówno zamożne jak i najskromniejsze gospodarstwo domowe.

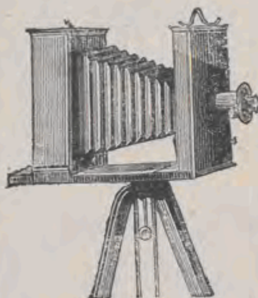
Brudna bielizna, firanki, jedwabie i t. d. przez noc zamoczone w ciepłej lub nawet w zimnej wodzie z domieszką PERFEKTU, następnie lekko poprane, stają się bezkrytycznie czyste i białe.

PERFEKT jest niezrównanym środkiem do mycia wszelkich przedmiotów z drzewa, metalu, szkła.

W użyciu do kąpieli nadaje ciału świeżość i wonność.

PERFEKTU dostanie wszędzie po 16 kop. paczka.

Hurtowo u **L. Szwedego Senatorska 30, tel. 17-28.**



Aparaty Fotograficzne

ZEISSA, GOERZA, KODA-KA, GAUMONT I INNE OD NAJDROŻSZYCH DO NAJ-TAŃSZYCH

POLECA

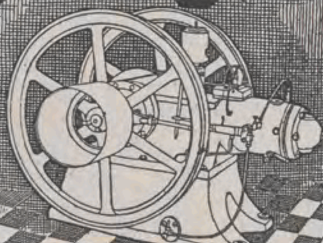
J. & W. KASPRZYCKI

Nowy Świat 45.

N. B. Każdy aparat sprzedajemy z gwarancją.

MOTORY - URSUS - WARSZAWA.

Adres telegraficzny: „URSUS“—Warszawa.



Silniki 2 i 4-taktowe: ropowe, naftowe, spirytusowe—prostota budowy, obsługa zbyteczna, bezwonny wydmuch, ekonomiczność działania.

Lokomobile rolnicze — uznane za najpraktyczniejsze dla gospodarstw wiejskich.

Silniki do gazu miejskiego.

Urządzenia silnikowe o gazie ssanym z antracytu: najtańsze źródło energji mechanicznej.

Przeszło 2,300 silników - w ruchu.

ZŁOTE MEDALE na ostatnich wystawach: w Częstochowie, Odessie, Carskiem Siole, we Lwowie i wiele innych.

T-wo Udziałowe Specjalnej Fabryki Armatur i Motorów „URSUS“
WARSZAWA — SIENNA 15.